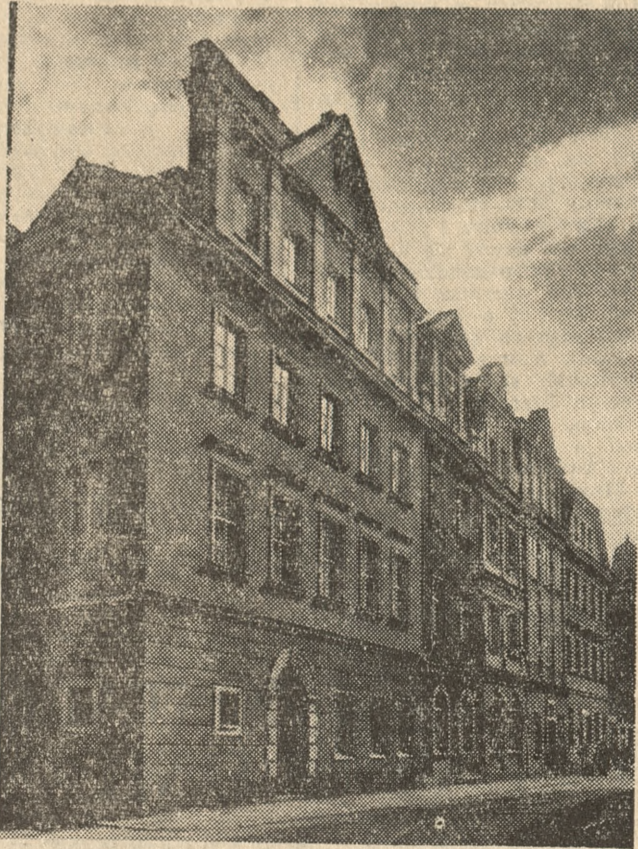


O starości odmłodzonej



Zrekonstruowane kamieniczki przy ul. Wielkiej 1—5. Wykończone w 1953 r.

Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień pragnę Czytelników uprzedzić, że artykuł niniejszy nie dotyczy ani kobiet, ani recepty na młodość. Temat jego jest o wiele mniej frapujący, aczkolwiek z pewnością „tyńfa wart” i 5 minut — jak zwykli pisać arcyznakomity „Przekrój” — Waszej uwagi.

Otóż w dniach od 14 do 24 maja obchodzili swoje doroczne święto poznańskie zabytki, o których wiemy często tylko tyle, że istnieją, że „ktoś” się o nie troszczy i na które łaskawie spoglądamy „przy okazji”.

Ale zdarzają się ludzie wręcz zakochani w kamiennych protoplastach naszego miasta. Może widzą w nich w kamieniu wykutą historię Poznania i kraju? A może mają dla nich ten serdeczny sentyment, jaki żywimy do starszaków-albumów rodzinnych i pamiątek z przeszłości? W każdym bądź razie ten Czytelnik „Głosu”, który kilka dni temu telefonował do redakcji z prośbą o „ratunek” dla wiekowej posiadki z płyt przed Starym Ratuszem rozbitanej przez jakieś przedsiębiorstwo — na pewno kocha zamierźnie uroki naszego grodu.

Posiadamy w Poznaniu, chociaż może nie wszyscy o tym wiemy, około 400 nieruchomości obiektów zabytkowych pochodzących sprzed XIX wieku. Wszystkie w większym lub mniejszym stopniu uległy zniszczeniu w czasie wojny. Innego rodzaju, lecz także niszczycielską rolę, odegrał w stosunku do nich czas, który nie oszczędza nawet kamieni.

W latach powojennych dla zabytków poznańskich nastąpił okres drugiej młodości. Czołowe obiekty zostały zrekonstruowane — że wymienię chociażby Ostrow Tumski i Stare Miasto. Obecnie trwają prace przy odbudowie Zamku Przemysława, lada miesiąc „na warsztacie” znajdzie się Pałac Górków. Odbudowę zamku, w którym Muzeum Narodowe zamierza pomieścić dział rzemiosła artystycznego oraz pałacu, przewidzianego na Muzeum Archeologiczne — przeprowadza się z funduszy centralnych.

Spółeczna Komisja Opieki nad Zabytkami przy PTTK zainicjowała ostatnio tzw. „tabliczowanie” co ciekawszych i bardziej „zasłużonych” obiektów; właśnie na „Dni Ochrony Zabytków” przewidziano zaopatrzenie w marmurowe „wizytówki” niektórych kamieniczek Starego Rynku, Odwachu, Pałaców Działyńskich i Mielżyńskich, kamienicy Zupańskich a także Biblioteki Raczyńskich. To chyba łatwa i należąca przeszłości forma wykazania jej przez współczesność szacunku i pamięci.

Wokół zabytków zwykła zawsze krążyć legenda; wiele

mówiło się w swoim czasie o starym domu, w którym jakoby mieszkał miał włoski architekt Quadro, twórca Nowego Ratusza, o kamieniczkach należących rzekomo do Kallimacha lub dr. Strusia. W celu ustalenia prawdziwości takich stwierdzeń, przeprowadza się fachowe, naukowe badania. W rezultacie wiele podobnych „faktów” trzeba było — acz z przykrością — „między bajki włożyć”. Bo nauka z zasady beztłóśnie obchodzi się z legendami, nawet najpiękniejszymi...

Najstarsze poznańskie zabytki „ujrzały światło dzienne” już po wojnie. Należą do nich m. in. fragmenty przedromańskiej i romańskiej katedry z X i XI w. na Ostrowie Tumskim, pod obecną katedrą. Dwa lub trzy lata temu przy ul. Klasztornej odkopano stare rury drewniane (drażno- bne belki), którymi z Winiar doprowadzono ongiś wodę do czterech studzienek znajdujących się na Starym Rynku. W XVIII w. jedną z tych drewnianych studzienek przebudowano na kamienną. I właśnie ona, znana pod romantyczną nazwą „studzienki Prozerpiny”, przetrwała nawet III Rzeszę i zachowała się — jako jeden z nielicznych zabytków — nieuszkodzona do naszych czasów.

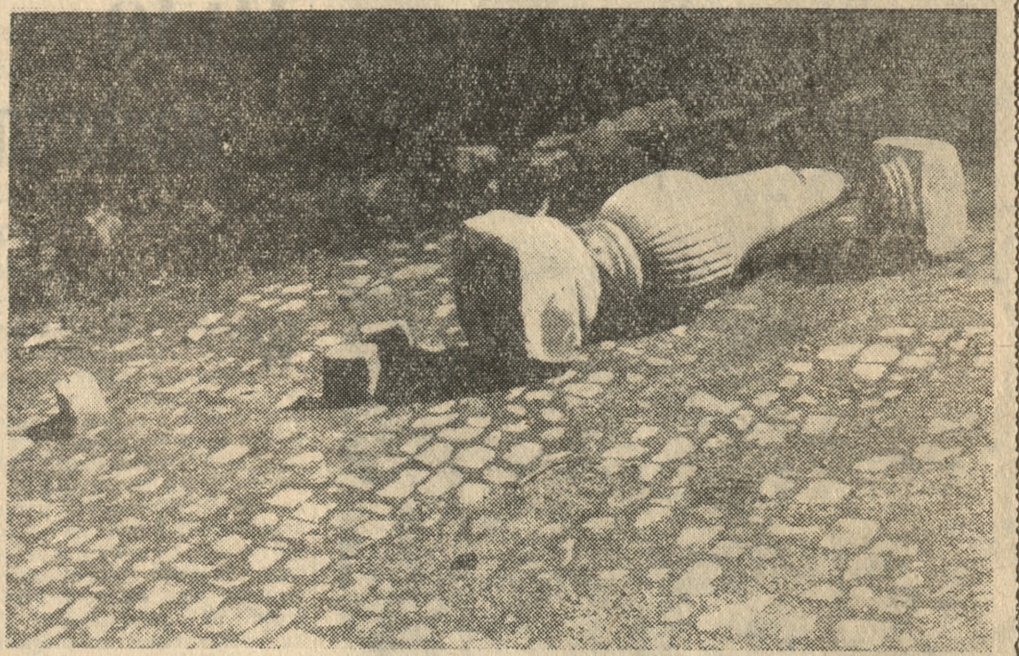
W pierwszych latach po wojnie zabezpieczano się ruiny i odbudowano wiele obiektów sakralnych. Odbudowę zabytków na szeroką skalę rozpoczęliśmy w Poznaniu w 1953 r. i trwa ona po dzień dzisiejszy. Obecnie dokonuje się wewnętrznej zabudowy Starego Miasta, ul. Woźnej i Klasztornej.

Nasi konserwatorzy skarżą się jednak na poważne trudności finansowe i wykonawcze w dziedzinie remontów zabytków. Nie każde przedsiębiorstwo chce się parać zmusną restauracją obiektów znajdujących się w opłakanym stanie i wadliwie lub wcale nie konserwowanych przed wojną. Toż bez solidnego zastrzyku pieniędzy i ludzi nie wiadomo, czy uda się uratować niektóre budynki. A doświadczenie uczy, że bardziej opłaca się remontować najstarsze nawet „rudery”, aniżeli doprowadzać je do ruiny, rozbierać i... budować od nowa.

Zasięgając „zabytkowych” informacji — przede wszystkim u Miejskiego Konserwatora mgr. Henryka Kondzieli — znowu trafiłam na tropy SFOS-owskiej działalności. Bo to właśnie SFOS sfinansował odbudowę Starego Ratusza, Biblioteki Raczyńskich, Pałacu Działyńskich, zewnętrznych elewacji Starego Rynku i częściowo jego zabudowę wewnętrzną. A wszystko to ze skromnych, comiesięcznych składek na SFOS.

Musimy sobie zresztą powiedzieć, że sentyment do zabytków cechuje nas, Polaków, rzec można — w skali masowej. Lecz sentyment ten ma podłoże przede wszystkim patriotyczne. Wróg z pasją zacieł, na przykład w Poznaniu, wszelkie znamiona polskości z architektonicznymi włącznie — tym gorliwiej je przywracał. Wróg celowo i perfidnie dokonywał zniszczeń — z tym większym entuzjazmem odbudowujemy i ożywiamy grudy. I ten polski upór w odradzaniu miast tylekroć obracanych w perzynę — podziwiają inne narody. Zwłaszcza, że nasza służba konserwatorska stoi na bardzo wysokim poziomie. Jesteśmy wrażliwi na opinie zagranicy, pamiętamy więc o tym, że w dziedzinie ochrony zabytków wysoko tam nas oceniają.

Halina SAWICKA



Z zabytkami bywa u nas rozmaicie. Powoli jednak zaczynamy dotrzymywać kroku ni-
szczyielskiemu działaniu czasu — zwłaszcza w Poznaniu. Przeczytaj zresztą artykuł obok.

Fot. H. Dera

CO NAM ZOSTAŁO Z TYCH DNI?

Telefon — to jedno z go Korczaka, znanego literata poznańskiego acz nie z Poznania rodem — zastaliśmy w redakcyjnym biurku pod nosi się słuchawkę, nakręca kilka cyferek i — płon rozmowy zamieszcza w najbliższym numerze gazety. Chyba że zawiedzie ów „łut szczęścia” i obiektu poszukiwań nie zdoła się osiągnąć na drugim końcu drutu telefonicznego. W naszym przypadku jednak „łut” dopisał i Jerze-

*) Wdzięczne, choć czasem niebezpieczne (red.).

— Przed wszystkim co Pan myśli o tegorocznych Dniach Oświaty, Książki i Prasy, które jako literatowi winny być Panu szczególnie bliskie?

— Wydaje mi się, że niczym specjalnym nie odbiega ją one od podobnych Dni organizowanych w latach ubiegłych. Trudno zresztą żądać w tej dziedzinie jakichś inno-

wacji na miarę „atomową”. Nie ulega wątpliwości, że Dni są pożyteczne, z tej chociażby przyczyny, iż — mówię tu pro domo sua — zbliżają społeczeństwo do trudnych z pewnością problemów współczesnej literatury. Odbylem w tym roku kilka wyjątkowo interesujących spotkań z czytelnikami. Do najbardziej udanych zaliczam spotkania z młodzieżą, z uczniami VII klas szkół podstawowych. To niezwykle chłonne środowis-

(Dokończenie na str. 2)



Rys. St. Mrowiński



Przemysław Bystrzycki

Zaraz po zejściu ze stopni kościoła zdała się na niego. Do odrobienia już nic nie zostało — iść tedy z młodym człowiekiem, co najwyżej za przewodnika przez czas pewien posłużyć, dla niedalekich zresztą dystansów: plac przed świątynią przemierzyć, wywieść z gmatwaniny zaułków, dobić do Corso di Roma i poddać się falowaniu tłumów, zmienemu jak przyprawy morza. Rezygnacja. Koniec wędrówki. Oddanie pałeczki, sztafetę przejmując Andrzej. Z całą resztą... Jak ta reszta wyglądać miała, czy niosła smak jakikolwiek, ból, gorycz, krew (ukradkiem spoglądała na kolano Andrzeja) — strach, ach jakiś strach duży jest towarzyszem kobiecej niedoli. Na dnie obaw wezbranych w jej piersi — zamigotała niepewnie isierka nadziei: ciekawość.

Szum narastał, gęstniał na chodnikach przechodnie, światła pomykały ku nim łapczywsze z każdym krokiem, wniknęły w tłum na pryncypalnym Corso, z ociąganiem jednak i niepewnie: ten rozgwar wokół odbierał im ciszę.

Kobiety w sukniach trochę schludniejszych niż za dnia, jasnych, odświeżających ramion, przyzwiole dopiętych pod szyją, (dziwna moda niewieście w czwartym roku wojny) — otaczały męskie głowy obłokiem śmiechów, dawkowa-

nych z rozmysłem, albo hałaśliwych bez miary, zachęcających: no już, zdecyduj się głupi chłope, bo nie znasz ni dnia ni godziny. Rozchełstane mundury wojskowe torowały ścieżki wśród ciżby, łatwo zesuwały na boki cywilów, nawet pojedynczy żołnierz wzbudzał respekt, prawdopodobnie jednak pozorny — tłum za mundurowym zwierzał się jeszcze ściślej. Włosi z pasją szukali przy sobie Włochów. Żołnierze szukali dziewczyn, skutecznie, bez trudu, bez wesołości, niektórzy z udaną obojętnością zanurzali głowy w chmurkach kobiecych chichotów — jakby spełniali powinność.

Andrzej z Marią szli pod prąd przechodniów. Tak się dziwnie złożyło, iż spacerowicze parli ku nadbrzeżom —

oni zmierzali w stronę przeciwną, zepchnięci pod budynki, ustępowali miejsca wojskowym, nawet cywile mieli dla nich znaczenie, dlatego ocierała się niekiedy Marija o mur kamienny lica i niepozorną sukienką. Andrzej przeszedł na prawą stronę — aby oszczędzić dziewczynie tej niewygody.

Natęzał uszu, próbował wysłuchać rytmu marszu. Rozłamywał się ten rytm w tysiącu podobnych uderzeń: nie grały dźwięki Mariji — i jego bućki milczały wśród powszechnego stukotu. Cóż — nie przykro nawet, powiedzieć można, szereg bez znaczenia — lecz wiedział i każdej chwili następnej upewniał się w tym przekonaniu, że idą coraz szybciej. Zgodni na każdą propozycję ustąpienia drogi, lub obejścia rozbawionej grupy, byle im nikt przeszkadzać nie miał zamiaru. Andrzej wciśnięty swoim ramieniem w jej ramię, ona z głową opuszczoną na piersi, i zasapana; droga lekko wiodła pod górę. Przy światłach chowała twarz. Zgadywał, iż rada byłaby znowu iść bliżej murów, w jego cieniu, omiatającym ją choćby przez chwilę w trakcie mijania dość częstych tu latarni. Ponownie przeszedł na lewo. Z prawej wyskoczyła przecznica, druga potężna oś tego miasta — tedy, po kilku minutach, prawie dobiegli pod hotel. Noc trwała tu spokojniejsza. Ci chymi smugami reflektory omiatały niebo, powietrze prześcały zapachy o niezwykłej sile, jakby wonie całego dnia zeszły się w owej godzinie późnego wieczoru. Grupa mando-

linistów pobrzękiwała na lawce nieopodal — wyciągnięta wysoko canzona szła w świat. Wejście do hotelu było ciasne dla kochanków. Co innego podeszły do portiera i o klucz poprosić, co innego: przeprosić dziewczynę i podeszły do portiera po klucz. Złazła się jej portier sędziwy. Tu urzędował na szczęście chłopak młody. Anglik sierżant, lecz Marija i tak się pioszyła.

Dał klucz, prawie nie patrząc, przywykły, leciutko tylko przez zęby zagwizdał skoro postępowali po schodach, Andrzej widział: jej nogi. Na półpiętrze wychylony przez poręcz zapytał:

— Doszedł ktoś w moim pokoju?

— Okey, Jack, nikt! — portier podniósł kciuk prawej ręki i powrócił do gazety.

Wkładając klucz do zamku Andrzej trzymał Mariję w polowie. Przekręcił klucz i od ruchowo przycisnął dziewczynę. Jakby tym gestem uruchomił syrenę. Daleko na krańcu miasta. Ponowny skręt — jęklivy płacz obiadł bliższe punkty alarmowe; otwierane drzwi — całe miasto postawiło na nogi. Andrzej zapalił światło i dla porządku spuścił w oknie zasłonę z czarnego papieru. „I tak bym to zrobił — naprzeciw domy mieszkalne” — niby kończył tamtą myśl. Przypomniał sobie:

— „Nic nie ujrzycie, nic nie ujrzycie...” Jak ta melodia idzie?

— Która?

— No, „Nic nie ujrzycie”...?

(Dokończenie na str. 2)



Leningradzki Teatr im. Puszkina występuje w Polsce

Do Warszawy przyjechał zespół Leningradzkiego Państwowego Akademickiego Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Puszkina. Teatr pokaże widzom polskim dwie sztuki: „Tragedię optymistyczną” Wisniewskiego oraz „Gracza” Dostojewskiego. Poza Warszawą, Teatr Leningradzki wystąpi we Wrocławiu i Gdańsku, a prawdopodobnie także w Poznaniu.

Na zdjęciu u góry: W. Czeslukow w roli Alekseja Iwanowicza i B. Freimlich w roli Astley'a.

Na zdjęciu drugim: scena finałowa „Tragedii optymistycznej”.



Fot. — CAF

Myto zachodnioniemieckiej literatury

Co porabia pan A. Hayduk, Hans Niekrawietz, P. Habraschek i inni?

Wśród zachodnioniemieckich rewizjonistów znajduje się spora grupa pisarzy, których jedyną szansą utrzymania się jest kontynuowanie wątków tematycznych służących propagandzie odwetowej. Tylko w ten sposób mogą się oni doczekać pomocy materialnej i uznania — oczywiście bynajmniej nie od całego narodu niemieckiego, lecz od jego ekstremistycznej części, od rewizjonistów. Tylko dzięki temu znajdują oni wydawców, a także i odbiorców — spośród zaprzysiężonych członków różnych ziomkostw. Na tak zwanych rogatkach miejskich zawsze, również i w Niemczech, płaciło się dawniej myto. Pisarzy, o których mowa, skoro chcą się znaleźć przynajmniej na rogatkach literatury niemieckiej, muszą zapłacić okup. Okupem tym jest tematyka ich utworów, odwetowa temperatura ich książek.

Trzeba przyznać, że literaci ci mają dużą wprawę w sianiu nienawiści i w fałszowaniu problematyki. Czym dawniej zajmował się taki na przykład Alfons Hayduk?

Dopóki przed rokiem 1939 mieszkał w Gliwicach, dopóki nie wybiła jego „wielka godzina”, jak to sam przyznał w wywiadzie, u dzielnym w latach wojny katowickiej „Oberschlesische Zeitung”, zajmował się owszem, piarstwem, fałszował, owszem, jak wszyscy niemieccy pisarze nacjonalistyczni, dzieje Śląska i Ziemi Zachodnich, ale było to jeszcze tylko platoniczne przykładanie ręki do zbrodni. Później jednak wybiła owa „wielka godzina” i Hayduk stał się wysokim funkcjonariuszem partii hitlerowskiej w katowickiej części Górnego Śląska.

Tenże sam Hayduk dzisiaj krąży ze swoimi wierszykami po łamach prasy rewizjonistycznej, epatując swych ziomków płaczącym buntem, karząc ich łzawy sentymentalizm.

Wtórą mu inni. Przede wszystkim Hans Niekrawietz z Opola, znany już przed wojną, laureat niemieckiej nagrody literackiej Opola.

Rodzice Hansa doskonale mówili po polsku, ojciec pisał się jeszcze Niekrawiec i był przedstawicielem polskim w jednym z biur wyborczych w czasie plebiscytu 1921 r. Tyle Szymon Koszyk, zasłużony działacz opolski.

Niekrawiec stał się renegatem i taką też stała się jego twórczość. Nie jest on dzisiaj, co prawda, tak nieprzyjemny w swych wypowiedziach literackich, jak Alfons Hayduk; zawsze zresztą głos jego był, jakby przytłumiony, jakby nieco zawstydzony — ale chlubił się nim rewizjoniści i obnoszą go po swoim obozie, jak trofeum zwycięstwa, wydarte narodowi polskiemu.

Do tych i do wielu innych doszłusował ostatnio Paul Habraschek, górnik z Rozbarku, który do 1938 r. przebywał w Polsce i najpóźniej wrócił do Niemiec. Ponieważ musiał zapłacić myto, żeby utrzymać się przynajmniej na rogatkach literatury niemieckiej, toteż przeczytałśmy jego impresję z powrotu, w której nie brak słów o „polskiej niewoli”.

Inaczej rzecz ma się z pisarzami wyższego lotu. I oni często co prawda nie mogą się przedrzeć przez rogatki, tym znowu przeszka dla ich „ślaskość” czy „wschodniość” — ale trzeba przyznać, że ci mają do zapłacenia niższe myto. Ich legitymacją jest talent. Oni też zachowują się nieco godniej od zdecydowanych renegatów. Najciekawszym zjawiskiem wśród nich jest czołowy zachodnioniemiecki lyrik, młody Heinz Piontek, pochodzący z tego samego Kluczborka, z którego pochodził znany Gustaw Freytag.

Tamten Freitag miał obsesję antypolską. Ten, młodszy, ma obsesję krajoobrazową; stale w jego utworach lirycznych, ocenianych bardzo wysoko, pojawia się krajoobraz górnośląski, owiany smutkiem — i to chyba jest jedyny akcent „rewizjonistyczny” w jego dojrzałej twórczości. Rewizjoniści chlubią się nim, ale nie mogą od niego wybiłagać agitek antypolskich.

Również i Gerhart Pohl jest ciekawym, odmiennym zjawiskiem na horyzoncie zachodnioniemieckiej literatury rewizjonistycznej czy pararewizjonistycznej.

Po wojnie przebywał on pewien czas na terenie Polski, był świadkiem ostatnich chwil Gerharta Hauptmanna w Jągniówce, o czym później napisał książkę, nie bardzo Polsce przychylną. Udzielał nawet wywiadów dla prasy polskiej, z których wydawało się, że stanie się rzecznikiem niemiecko-polskiej zgody. Działalność po wyjeździe z Polski, w której został bratem na gospodarstwie w Wilczej Porębie, w Kulturbundzie, demokratycznej organizacji, istniejącej dotąd w NRD. Po przejściu jednak do Berlina zachodniego — Pohl stał się nagle persona grata dla niemieckich rewizjonistów. Dzisiaj ma wysoką funkcję prezesa Zrzeszenia Niemieckich Związków Pisarzy i w tym charakterze jeździ po świecie, sięjąc rewizjonistyczne ziarno gdzie się da.

Śląsk i inne części Ziemi Zachodnich miały w kulturze niemieckiej wielu pisarzy; bynajmniej nie zamierzamy zaprzeczać, ponieważ jesteśmy zwolennikami opowiadania prawdy historycznej. Byli wśród nich tacy znani, jak Gerhart Hauptmann czy

Ernst Wiechert z Ziemi Mazurskiej. Rzecz ciekawa, że zarówno jeden jak i drugi przyjęli w okresie hitlerowskim (pierwszy w stopniu bardziej ograniczonym) postawę tak zwanego emigranta wewnętrznego. Również i Gerhart Pohl należał do pisarzy mniej przez hitlerizm hołubionych. Nieliczni tylko znaleźli się na emigracji politycznej, jak na przykład ów subtelny Max Hermann-Neisze, który również i przed emigracją nie dawał się wykorzystać w propagandzie antypolskiej. Ale wszystko to są wyjątki. Dzisiaj w kołach rewizjonistycznych szaleją nadal ci sami, którzy już wtedy znajdowali się tylko na rogatkach literatury. A na rogatkach, jak wiemy, często działają opryszkli. Niestety, ale i twórczość takiego Alfonsa Hayduka przez spiętrzenie antypolskiej nienawiści, nie ulezionej klęską, sama podkłada się pod to niezbyt pochwalebne pojęcie.

Wilhelm SZEWCZYK

CO NAM ZOSTAŁO Z TYCH DNI?

(Dokończenie ze str. 1)

ko, ciekawe ludzi, życia i świata. Poranki autorskie dla młodzieży traktuję jako bardzo przydatne „przedświata” i „terakie”, które nauczyły młodych prawidłowego odbioru literatury i w przyszłości, gdy ci młodzi dorosną, pozwolą być może uniknąć w tych sprawach wielu nieporozumień. Te akcje należałoby moim zdaniem, kontynuować i rozszerzać.

— A wrażenia z innych spotkań?

— W zasadzie bardzo pozytywne, szczególnie z tych tzw. terenowych. W Warszawie, Krakowie i innych dużych ośrodkach nie docenia się i nie dostrzega zaskakującego nieraz stopnia wyrobienia czytelnika w małych miasteczkach, gdzie ludzie na bieżąco niemal uczestniczą w problemach współczesnej literatury. Bo to nieprawda, że radio czy telewizja wypierają literaturę z orbity ludzkich zainteresowań. Na prowincji, czyli co najmniej w 3/4 kraju, literatura w dalszym ciągu odgrywa w życiu społeczeństwa najważniejszą rolę, jej też poświęca ono największej części czas na pracę. I to powinno zobowiązywać przede wszystkim nas, literatów. Weźmy np. taki Kalisz, który zresztą posiada bogate tradycje literackie. Na spotkaniach z kaliskimi czytelnikami nie było ani jednego trudnego zagadnienia z zakresu współczesnej literatury, które byłoby dla nich obce czy obojętne. Tak samo Wągrowiec czy Leszno. Ludzie domagają się dobrej literatury, chcą czytać. I to jest chyba najbardziej optymistyczny plon Dni...

— A z jakich środowisk rekrutują się najgorzejsi wielbicieli literatury?

— W tej dziedzinie bezwzględnie prym wiedzie inteligencja, przede wszystkim nauczyciele, aktywni uczestnicy wieczorów autorskich. Oni najchętniej dzielą się z nami swymi troskami i wątpliwościami; widzą, że odczuwa ją stałą potrzebę wymiany myśli. O młodzieży już mówiliśmy. Ale stanowczo więcej powinno się organizować spotkań autorskich dla środowiska robotniczego, w dużych zakładach pracy.

— Czy owo „zapotrzebowanie społeczne” na literaturę, o którym tyle się mówi, dało się rzeczywiście stwierdzić w czasie tych spotkań z czytelnikami?

— Zapotrzebowanie na dobrą literaturę współczesną bez wątpienia istnieje. Lecz

Czesław Kuriata

MASZ UŚMIECH GIULIETTY MASINY...

Masz uśmiech Giulietty Masiny — uśmiech nieszczęśliwego dziecka, uśmiech skrzywdzonej dziewczyny.

Idziesz tak pewnie powagi pełna, cieszysz się liściem i kamyczkiem.

Masz uśmiech Giulietty Masiny — wierzchołki uwięzionego lęku nieśmiało wyrastają na twojej twarzy.

Uśmiechem obłąkanych w marzenie się stacasz. Grasz pastuszą melodię na złotej trąbce

pocztynionu — ogłaszasz cierpienie dla mnie i dla pary rozkochanych oczu.

ŚMIERĆ w NEAPOLU

trochę dalej niż pierwsza. Od pierwszej niki na razie pozar zarówiła ściany pokoju. Marija zimne ręce przyciskała do piersi, dotknął ją: dreszcz nina wstrząsnął — dotyk ku twarzy jej skierował, ciepło tam chciał znaleźć, ponieważ spod śnieżnej opony policzki zaczęły różowieć w świetle łuny. Badał po omacku, nachylił się do kolan aby sięgnąć do kostek, uklęknął. Syknał, ranione kolano zapiekło. Pomyślał chwilę nad tym, co jej powiedzieć. Wyszeptał: — Nie będzie świętokradztwa.

Nie drgnęła. Uspokajał: — Już po wszystkim, samotny przeleciał, teraz huk usłyszysz tam, tam — ręką machał przed sobą. — Czy rozumiesz Marija? Tam, tam, bomby nie

musiał odczekać. Powiedział w końcu spokojnie: — Teraz wszędzie tak samo.

Wstał, troskliwie zdejmował moskitierę. Oswobodził ręce, czuł kruchliwą miękkość organiny przesuwanej po twarzy. Zjął całą, w dłoń chwilę ważył, znow ujął Mariję, od drzwi odciągnął, manipulując za plecami dziewczyny przekreślił klucz w zamku — i bez żadnego zamiaru ubrał ją w powłóczystą biel przeciwkomarowej ochrony.

Wtedy upadła druga bomba,

tu, nie tu — podnosił głos — nie tu! Na pewno nie tu, przysięgam!

Przeraził się. Zaczął widzieć wszystko bardzo dokładnie: pokój pogrążony w czerni — blask ognia nie wszędzie docierał — omiatał wzrokiem, w którym czaiło się światło rozpalone niby w nim, myśl pomagająca ostrości widzenia i narastającemu skupieniu. Równocześnie bać się zaczynał — nie tego co powiedział lub co w nim do wyrażenia zostało. Chłód bit od postaci, hamował gest, od-

strzępami papierowej zastawy. Dopiero teraz usłyszał, że powietrze na zewnątrz huczało. W przerwach kanonady krzyk narastał i milki, wyla strażacka syrena. Otworzył oczy. Odwrócony plecami do okna spojrzął na ciało dziewczyny owite w mglisty obłok organiny, ciało o utajonych cieniach, jedynie jasniejące z każdej chwili coraz intensywniej, ponieważ nieodległy pożar przybierał na sile. Machnięciem ręki odpędził szalejące za nim demony i furie, tą samą drogą, omijając łóżka, szedł ku niej, nie słysząc już iż ogień artyleryjski narastał, nie widział reflektorów prowadzących ważkę śmiertelną. Szedł z sercem doskonale słyszczym, w tym rytmie, który mu sam został na koniec, sam szedł przez pokój, sam jeden, do zimnego od grozy ciała Mariji, tającego i kształty i zapach. Widać dziewczynę na ręce, ciągle odgrodzoną odeń bielą przeźroczystą, skierował kroki ku łóżku, by upaść z nią razem — w gwałtownym zwarci uścisku, niesprawiedliwym, nie poprzedzonym głosem szczególnym: objęci przez pył, gruz, ogień, śmierć — tyle że pozbawieni ciemności. Przez jądro ziemi, rozwierane pod nimi, ciągle i ciągle jeszcze bez huku, bez grozy nawet, przeszedł skrawek ziemi bez gospodarza, niczyj skrawek, zobaczył Andrzeja (jeśli na pewno tak było) białą linę przewodnią, prowadzącą kędys pod górę, niby odwijaną pas bandaża wiodący do rany. Huku wciąż nie słyszeli.

Przemysław BYSTRZYCKI

— Dlaczego właśnie kryminalnej?

— Przyczyn jest kilka. Po pierwsze, powieść kryminalna uważam za niezłą formę relaksu. Po drugie, ciągle jeszcze nie wprowadzona w życie nowa umowa wydawnicza — zmusza — nie tylko mnie — do uciekania się do form najbardziej poszukiwanych przez szerokie kręgi odbiorców. Proza o tematyce współczesnej ukazuje się w nakładach 3-5 tys. egzemplarzy, kryminały natomiast z reguły szczytują się nakładami 30-tysięcznymi. No a poza tym „kryminal” nie wyklucza chyba literackich ambicji.

— Jak Pan godzi twórczość literacką z kierownictwem artystycznym „Teatru Satyry”, które z pewnością pochłania Panu masę czasu?

— Rzeczywiście, mocno mnie ono absorbuje. Niemniej uważam, że współczesny pisarz powinien jak najbliżej stykać się z życiem. Teatrem zajmowałbym się nawet wtedy, gdybym miał stope życiową Rotszylda. Każdy ma swoje „hobby”...

Rozmowę przeprowadziła H. S.

Nowości

z kraju i ze świata

Już od pięciu lat nasi naukowcy z Głównego Instytutu Górniczego prowadzą ciekawe badania nad podziemnym gazowaniem węgla. W tym celu wybudowano i wyposażono w odpowiednie urządzenia techniczne ośrodek doświadczalny „Mars” w Łagiszy. Badania te rozszerzono również na piłykę odkrywkę w Katowicach. Próby obejmują m. in. elektrokarbonizację, czyli przepuszczenie prądu elektrycznego poprzez złożę węglowe. Pod działaniem prądu węgiel nagrzewa się, wskutek czego następuje jego odgazowanie, złożę staje się porowate, a przez pory ulatnia się gaz, który następnie gromadzony jest w odpowiednich zbiornikach dla dalszego wykorzystania w przemyśle.

Jaki jest cel tych badań? Naukowcy szukają tu najwłaściwszej metody gazowania węgla bezpośrednio w pokładzie, bez wydobywania go na powierzchnię. Jeśli próby powiedzą się, wprowadzenie tej metody pozwoli na ograniczenie, lub na całkowite wyeliminowanie górniczych robót dołowych, zastąpiłyby je bowiem operacje wykonywane wyłącznie z powierzchni.

Towarzystwo Technicolor Corporation of Burbank w Kalifornii posiada patent na system nadawania sygnałów telewizyjnych, który zamienia je na sygnały kodowe, składające się z kropek i kresek przypominających znaki Morsa. Sygnały kodowe, po przebiegnięciu przez morze, będą odbierane na innym kontynencie i zamieniane z powrotem na sygnały telewizyjne. Do kodowania i dekodowania sygnałów będą użyte elektronowe maszyny matematyczne.

Już w roku 1935 uczeni radzieccy próbowali leczyć raka przez wstrzykiwanie pasożyta Trypono Trypanosomae Cruzi, wywołującego śpiączkę. Obecnie prof. Jean Coudert kontynuuje te badania, stosując inne pasożyty. Może w ten sposób nauka upora się z tą groźną chorobą?

O pasożytach - inaczej

Jedną z najcięższych plag Ameryki Południowej jest choroba Chagasa, będąca odmianą afrykańskiej śpiączki.

Największa epidemia wybuchła w Ameryce Południowej w 1935 roku. Ludzie marli jak muchy.

Największe nasilenie choroby przypadło na Argentynę. Jeden z lekarzy argentyńskich zauważył wówczas, że gdy na śpiączkę zachorował ktoś chory na raka, proces rozwoju nowotworu zatrzymywał się u niego jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Podczas jednego z przyjęć dyplomatycznych opowiedział on o tym odkryciu attaché kulturalnemu Związku Radzieckiego. Ten z kolei zawiadomił

o tym wybitnego parazytologa radzieckiego, profesora Roskina.

Wkrótce potem prof. Roskin udał się do Argentyny wraz ze swą asystentką — doktor Kijewą. Gdy przybyli do Buenos Aires, epidemia jeszcze nie wygasła. Uczeni radzieccy postarali się o uzyskanie krwi jednego z chorych, po czym przewieźli ją w opieczetowanych fiolkach do Moskwy.

Podczas drugiej wojny światowej uczeni radzieccy kontynuowali swe doświadczenia, po zakończeniu zaś działań wojennych opublikowali sprawozdanie, potwierdzające całkowite fakty zaobserwowane przez argentyńskiego lekarza. Pasożyty Trypanosomae Cruzi, zaszczerpione w formie pożywki świn-

kom morskim, chorą na raka, powodują cofnięcie się procesu chorobowego.

Sprawozdanie uczonych znalazło się w jednym z radzieckich czasopism naukowych, następnie zaś zostało przedrukowane we francuskiej prasie medycznej. Przed kilku laty przeczytał je pewien lekarz z Lyonu, którego żona chorowała na raka żołądka. Zachęcony doświadczeniami radzieckimi, postanowił, wraz ze swym przyjacielem, wybitnym parazytologiem francuskim, profesorem Jean Coudert, leczyć ją śpiączką. Rezultat był pomyślny. Chora wkrótce zaczęła chodzić i normalnie się odżywiać. Podczas przeprowadzonej następnie operacji stwierdzono, że na żołądku jej nie ma już żadnych śladów nowotworu. Niestety jednak, tkanki żołądka, zniszczone uprzednio przez raka, a potem nagle uzdrowione, straciły elastyczność. To sprzyjało wywiązaniu się infekcji, w wyniku której chora zmarła.

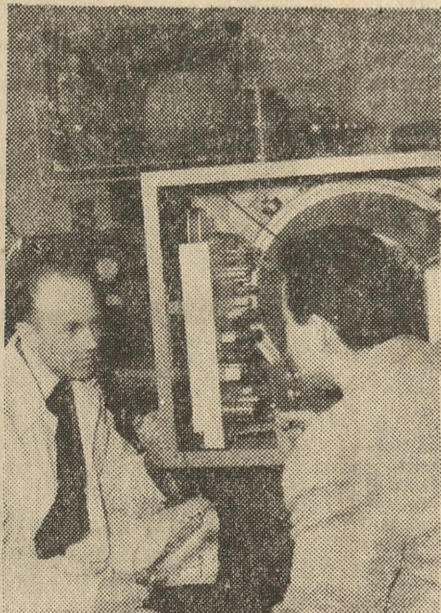
Nie zniechęciło to jednak profesora Coudert do dalszych badań. Kontynuował je później na zwierzętach, uzyskując w 95% wypadków dobre wyniki. Przed dwoma laty profesor Coudert opracował specjalny lek, zawierający substancje, które wytwarzają się w momencie pęknięcia komórki rozrodzonej pasożyta. Laboratoria w Lyonie produkują obecnie miesięcznie 60 tysięcy ampułek z tym lekiem. Wypróbowano go w 10.000 wypadkach raka i stwierdzono, że zawarte w nim substancje gromadzą się w opanowanych przez raka komórkach, pożerają je i przyspieszają powstawanie na to miejsce komórek zdrowych. Dotyczy to jednak przeważnie wypadków raka krtani, gardła i języka. W wypadkach raka żołądka i innych organów wewnętrznych liczba wyleczeń jest znikoma.

„Oczywiście — stwierdza prof. Coudert — nie znaleźliśmy jeszcze rozwiązania tej tragedii, jaką jest rak, ale w każdym razie mamy w ręku pożyteczną broń przeciwko niemu”.

Warto podkreślić, że metodą leczenia raka przy pomocy pasożytów interesują się również uczeni innych krajów. W Rzymie, profesor Pentimalli stwierdził, że przy leczeniu raka skóry ogromną rolę odgrywa pasożyt Micrococcus Lysodeicticus, który podobnie jak pasożyt wywołujący śpiączkę, niszczy komórki rakowe. W Buffalo, w Stanach Zjednoczonych, profesor George Moore prowadzi obecnie badania nad właściwościami pewnych mikroskopijnych pasożytów znajdujących się w ciele ludzkim. Profesor Moore przypuszcza, że czas trwania raka, bardzo różny w wielu wypadkach, może być zależny od ilości znajdujących się w organizmie pasożytów, które wstrzymują proces chorobowy.

Opr. M. J.

TELEWIZJA KOLOROWA



W Instytucie Tele- i Radiotechnicznym w Warszawie od roku pracuje zespół inżynierów, pod kierownictwem inż. Wojciecha Skulimowskiego, nad budowę odbiornika telewizji kolorowej.

Na zdjęciu: współtwórca odbiornika, inż. Jerzy Kania i inż. Andrzej Bartosiak.

PLYWAJĄCE MIASTO PRZED ATOMOWYM REJSEM

Przy nabrzeżu, jakby nad stawiając swój potężny bok pod uderzenia nadbiegających fal Newy, wznosi się stalowy kołos — lodołamacz atomowy „Lenin”. Prze suwają się, podzwaniając, port talowe dźwigi, rozbłyskują ogniami rzędy iluminatorów, a spoza grubych płyt poszycia kadłuba dobiega ogłuszający terkot młotów pneumatycznych i szum najprzeróżniejszych mechanizmów. Jest to rytm zwykłych prac, związanych z wykończeniem lodołamacza i próbami jego mechanizmów.

Na tle nieba wyrysowują się zmontowane już anteny radaru i radia. Najnowsze osiągnięcia techniki radiolokacyjnej, wspólnie z innymi nowoczesnymi przyrządami, zapewnią lodołomaczowi pełne bezpieczeństwo podczas długich rejsów w mroku polarnej nocy.

Obok mostku kapitańskiego znajduje się pomieszczenie, które śmiało można nazwać „mózgiem” okrętu. Mnóstwo tablic rozdzielczych ze świecami, różnokolorowymi lampkami, migające ekrany oscylografów i urządzeń radarowych, dziesiątki różnych przycisków i dźwigni, przy pomocy których kieruje się na odległość reaktorami atomowymi — wszystko to nada je pomieszczeniu charakter jakiegoś dużego laboratorium fizycznego czy radioelektronicznego. Automatyzacja została doprowadzona tu do takiego stopnia, że nawet dzieńnik okrętowy prowadzić będą automatyczne mechanizmy.

Któryś ze stoczniovców na dał lodołomaczowi nazwę: „pływające miasto”. Miano to szybko się przyjęło — bo odpowiada pod każdym względem rzeczywistości. Przez długi miesiąc rejsów będą tu żyć i pracować marynarze, naukowcy, badacze polarni. Konstruktorzy i budowniczo- wie postarali się, by stworzyć dla nich jak najlepsze warunki.

ki. Wszystkie kajuty na okręcie są wyłącznie jednoosobowe. Wszędzie przeprowadzono urządzenia klimatyzacyjne. Będzie gdzie odpocząć, po rozmawiać, zabawić się: są palarnie i czytelnia, jest biblioteka, sala kinowa i sala muzyczna. Są łaźnie i prysznice, jest zmechanizowana pralnia i wielka chłodnia, która będzie musiała pomieścić zapasy żywności na okres całego rejsu — przecież lodołamacz będzie wypływał na wie le miesięcy, a nawet na przeszło rok, nie zawiązując do żadnego portu.

Schody, korytarz, jeden, drugi, znów schody. Główny

Korespondencja z Leningradu

budowniczy okrętu inż. Czerwinski prowadzi nas w dół — do atomowych i maszynowych „serc” lodołamacza. Wszystkie prace zostały tu już zakończone.

Gruba osłona z warstw specjalnego stopu metalowego, wody i betonu oddziela od reszty okrętu trzy atomowe reaktory, z których każdy ma moc znacznie większą niż reaktor pierwszej radzieckiej elektrowni atomowej. Reaktory te są wtopione w specjalne pojemniki z nierdzewnej stali — każdy, nawet najdrobniejszy szew pojemników sprawdzono aparatami Roentgena. Czułe dozometry i inne urządzenia reagować będą na najdrobniejsze zanieczyszczenie powietrza substancją mi radioaktywną.

Zwykle, podczas rejsu, czynny będzie tylko jeden reaktor. Drugiego włączy się wyłącznie w szczególnie ciężkich warunkach lodowych. Trzeci reaktor — jest zapasowy.

Gotowa jest już umieszczona w tyle okrętu elektrownia,

która zasilac będzie lodołamacz w energię podczas postoju, gdy reaktory będą nieczynne. Elektrownia atomowa wraz z tą, pomocniczą, produkować będzie więcej prądu, niż zużywa go niejedno duże miasto...

Oddano też do użytku urządzenia, które przerabiać będą morską, słoną wodę na słodką, zdatną do picia. Lodołamacz atomowy, nie mógłby bowiem zabierać na długotrwałe rejsy dostatecznego zapasu słodkiej wody.

Wśród robotników, pracujących nad wykończeniem lodołamacza, raz po raz migają sylwetki marynarzy. To członkowie kompletowanej już załogi, którzy obejmują okręt w swe posiadanie. Prawie wszyscy — jak oświadczył kapitan Paweł Ponomarew — mają za sobą długie lata pływania w Arktyce. Na statku pracują już nie tylko marynarze. Ekipa lekarzy i sanitariuszy dba o jak najlepsze wyposażenie wielu różnych gabinetów lekarskich, sal, apteki. Pracują już także łodnicy — lodołamacz będzie miał dwa własne śmigłowce, umieszczone w hangarze na rufie okrętu.

Wszystko wskazuje, że niedaleki jest już dzień, gdy lodołamacz atomowy wyruszy w swój pierwszy rejs. Potężną, wprężoną w silniki siłą 44 tysięcy KM (co dwukrotnie przewyższa moc najnowszego i największego obecnie na świecie amerykańskiego lodołamacza „Glacier”), swobodnie przechodząc przez polną lodową 3-metrowej grubości lodołamacz atomowy „Lenin” torować będzie drogę na szerokościach geograficznych, do których nie dopłynął dotychczas żaden okręt, przekładając będzie wojną drogę dla statków handlowych na Północnym Oceanie Lodowatym — służyć będzie gospodarce i nauce.

G. ŚWIETŁOW



Najbezpieczniejszy samochód

Walter Jerome z USA, który jest konstruktorem tego dziwnego samochodu, twierdzi, że jest to „najpewniejsze auto świata”. Żaden wypadek nie może podobno zagrazić poważnie ani jego samochodowi, ani pasażerom.

Medycyna + technika = biomechanika

Bratanek Henry Forda uległ wypadkowi: jego samochód wypadł z toru autostrady i rozbił się na wielkim słupie reklamowym. Lekarze orzekli, że Dennis będzie miał jedną nogę krótszą o 4 centymetry.

— Za pozwoleniem — zaprotestował doktor Jack Meblon. — A od czego zdobycze biomechaniki?

Sztuczne serce. Sztuczne płuca. Zastawki sercowe z masy plastycznej. Kolano ze stali chromowo-niklowej i pompki pneumatycznej. Sztuczna ręka. Żołądek z polistyrenu i żywic melaminowych. Opaska z fotokomórką zamiast gałek ocznych, plastikowy przełyk i sztuczne jelita...

Wymieniać można bez końca. Człowiek coraz częściej otrzymuje części zastępujące naturalne organy lub ich fragmenty. Dennis Ford wyzdrowiał całkowicie: po czteromiesięcznym pobycie w szpitalu, gdzie zastosowano najnowsze zdobycze biomechaniki, powrócił do zdrowia, z normalną nogą, do

domu. W tym wypadku zastosowano pobudzenie wzrostu mięśni przez wprowadzenie do zmiażdżonej nogi niewielkiej baterii atomowej, będącej źródłem ciepła. A biomechanika stwierdziła już dawno, że ciepło pobudza tkanki do regeneracji.

Pierwszego tego rodzaju stwierdzenie postawił Leonardo da Vinci. Pozostawił także wiele rysunków, ilustrujących mechanikę ciała ludzkiego. Stanowiły one analizę pracy poszczególnych mięśni i kości człowieka. Później przyszli badacze rosyjscy, niemieccy, angielscy, amerykańscy, radzieccy, francuscy, a i Polacy wśród nich nie brakowało. Wreszcie na „Expo-58” zwiędających pawilon ZSRR zadziwiła sztuczna ręka, która wykonywała proste ruchy pod wpływem niewypowiedzianego rozkazu. Wystarczyła sama myśl rozkazodawcy!

Co to jest biomechanika? Jest to gałąź wiedzy, która zajmuje się organizmem ludzkim jako aparatem mechanicznym podczas pracy, odpoczynku, gimnastyki, a więc prawidłowościami ruchu i przyczynami wad. Uzbudowana w zdobycze współczesnej techniki potrafi usunąć wiele uszkodzeń ciała — oczywiście mechanicznych — za pomocą wprowadzania do żywego organizmu części zamiennych.

Stal, składająca się ze stopu chromu (18 proc.), niklu (8 proc.) lub chromu, tytanu, kobaltu, molibdenu jest odporna całkowicie na korozję, nie oddziałuje szkodliwie na żywe tkanki. Masy plastyczne, odporne na działanie kwasów organicznych, są niezawodnym tworzywem sztucznych przewodów, jak również — do produkcji sztucznych mięśni — jednak nie pracujących. Ich własności wykorzystuje biomechanika przy tworzeniu sztucznych, zastępczych części ciała ludzkiego.

Już obecnie znane są wypadki zastąpienia protezami poruszającymi resztkami mięśni straconych kończyn. Ocalałe resztki mięśni i nerwów oraz ścięgien wprowadza się do odpowiednich fragmentów protez, które wykonują posłusznie rozkazy przekazane przez mózg do nieistniejących mięśni, np. podudzia czy palców rąk.

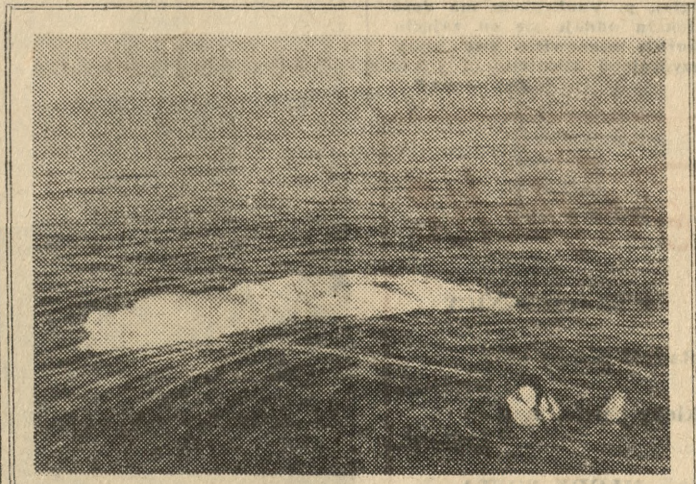
Tak technika w sojuszu z medycyną pomaga odzyskać człowiekowi utracone wskutek wypadków części organizmu...

Andrzej CZARSKI

Rekordziści

Żyjemy w czasach szybkości. Ciekawe więc będzie zrobić kilka porównań.

Niektóre gatunki polarnych kaczek latają z szybkością 115 km na godzinę; bażant — 96 km, dzika kaczka — 88 km, gołąb — 87 km, wróba — 76 km, jaskółka — 57 km, a labędź — 53 km na godzinę. Wśród czworonogów najlepsze wyniki mają w szybkości gaza i antylopa ze swymi rekordami 96 km na godzinę. Szakal i zyrata potrafią przebiec po 55 km, lew — 48 km, ciężki słoń — 40 km, a nosorożec — 32 km w ciągu godziny. W królestwie wodnym niektóre makrele płyną z szybkością 45 km, pstrąg — 19 km, a losos — 18 km na godzinę. Niektóre gatunki błonkoskrzydłych owadów również mogą pochwalić się szybkością 60—70 km na godzinę (np. pszczoły).



Bywa i tak, że lotnik musi lądować przymusowo ze spadochronem w wodzie. Jak go zabezpieczyć przed zatonięciem? Specjalny kołnierzyk-kurtka, napęnlane automatycznie powietrzem w momencie zetknięcia się z wodą, są znane od czasów wojny. Ten skoczek jednak nie był zmuszony do kąpiel: to jeden z członków Aeroklubu Gdańskiego, który specjalizuje się w skokach do wody. (ac)

FILM

Dziś — o dwu przygotowywanych filmach polskich. „Awantura o Basie”, to, oczywiście, stylizowany Makuszyński. Ponieważ powieść ta znana jest szeroko, podajemy tylko obsadę. W roli młodej Basi wystąpi 4-letnia Małgosia Piekarska z Warszawy. Reżyserka filmu, M. Kaniewska wybrała ją po próbnym zdjęciu aż 3 tysięcy kandydatek! Opiekuną Basi, aktora Walickiego, grać będzie N. Niewiarowicz, p. Olszańska — E. Krasniewska, jako literat Olszowski wystąpi J. Duszynski. Obok — Małgosia czyli Basia.



Jerzy Kawalerowicz kręci film pt. „Pociąg”. Scenariusz napisał znany twórca sztuk teatralnych — J. Lutowski. W roli głównej wystąpi L. Winnicka (na zdjęciu).

ALFARET HISTORIA ciekawostki ALFARET

MROWINO, powiat Poznań. Przypuszczam, że mrówki przyczyniły się do tej nazwy. W zapiskach już w roku 1404.

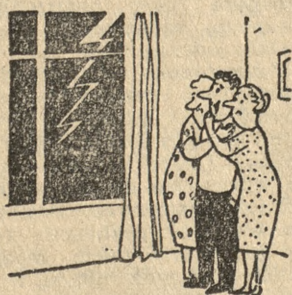
W roku 1648 właściciel tej wsi złożył skargę na swoich poddanych. Mianowicie wraz z ludźmi z innych wsi zbili mu sługę (musiał być lada-co), a kiedy dziedzic wystąpił w jego obronie, żona urzędnika zaczęła wzbudzonych, aby go zabili. Gdyby nie przyszła pomoc, mogło się skończyć tragicznie. Ale o co poszło — nie wiadomo.

MSCISZEWO niedaleko Murowanej Gośliny, w roku 1388 Mściszewo, w roku 1478 Msczyszewo. Może od Mścisz, Mścicha, Mścislawa, Msta, a może od... zemsty. Kto tam wie?

MURKOWO koło Leszna. Tu w końcu sierpnia 1794 roku zebrali się kilkuset kosynierów. Dowódca Bolesław nie wystawił warty, a sam uczładował. Skorzystali z tego pruscy husarze, napadli, ośmiu zabili, trzydziestu wzięli do niewoli, tylko sołtys z Koronowa zdołał ze swoimi ludźmi wycofać się z niebezpiecznej sytuacji. (fp)



Właściciel kawiarni w Mouscron (Belgia), p. Vantleghem ma dość oryginalne „hobby”. Po zamknięciu lokalu oddaje się on zajęciu wymagającemu wiele cierpliwości: dekoruje mianowicie swe wazy nalepkami cygar, które otrzymuje od klientów. Fot. — CAF



— A jeszcze kilka minut temu byłem starym idiotą...

Traszk

Z SZACHOWNICY

Radość pionka któż
wysłowi,
kiedy powie: mat! —
królowi.

MŁODY POETA

Raczy nas „poezją”. A czy
ortografię poznać raczy?

Włodzimierz SCISŁOWSKI

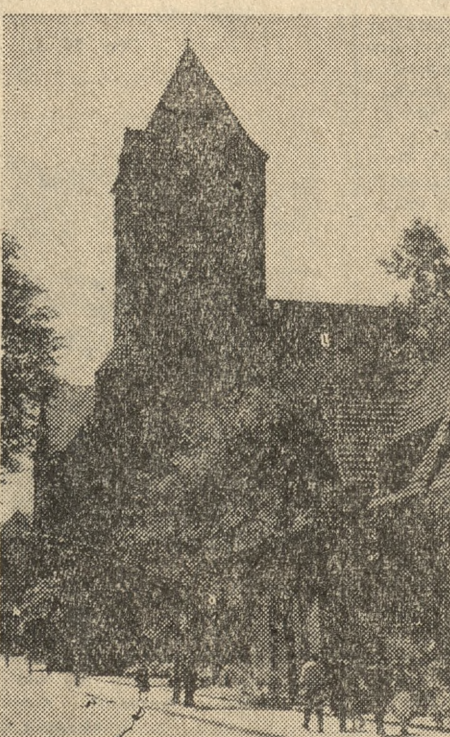
1	2	3	4	5	6	7	8	9
10		11			12			
13					14			
15				16	17			
		18	19					20
21		22			23	24		
			25	26				
	27	28			29	30	31	
32				33				
34					35			
36						37		

ułożył „LAR” — Poznań

POZIOMO: 1 — żółtokwiatna roślina ozdobna, 4 — szpagat, 10 — kalif, który spalił bibliotekę Aleksandryjską, 12 — kandy, 13 — atrybut królewski, 14 — rafa koronowa, 15 — rasowy rumak, 16 — naczynie na kwiaty, 18 — odcinek wyścigu, 21 — śpiewany dramat, 23 — kosaćce, 25 — roślinne łąki, 27 — sens bajki, 29 — port nad Morzem Kaspijskim, 32 — dawny szwadron, 33 — autor „Dzwonów Bazyli”, 34 — bajkopisarz grecki, 35 — in. topi się, 36 — francuskie „oczko”, 37 — chodźli wspan.

PIONOWO: 1 — najemca mieszkania, 2 — wieczne dzieciństwo, 3 — konsekwencja winy, 5 — widmo, 6 — zranienie, 7 — antonim satorów, 8 — imię polskiego literata, 9 — fundament statku, 11 — termin brydżowy, 17 — święty byk, 19 — opakowanie, 20 — specjalność Maji Beżowskiej, 22 — utwór miłosny, 24 — bonifikata, 26 — miasto koło Wrocławia, 27 — dziedzina Paulinki i Lucynki, 28 — wyspa na Pacyfiku w poł. Polinezji, 30 — wodorost morski, 31 — marynarskie łóżko, 32 — rabin.

Termin nadsyłania rozwiązań (z dopiskiem „krzyżówka”) upływa dnia 28 bm.



Tak wygląda polski Pałac Kultury, według Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego w Krakowie, które na odwrocie pocztówki dodaje, że autorka zdjęcia jest p. Grażyna Wyszomirska. A te drzewa przed pałacem — to są nowozelandzkie baobaby, co zresztą także można poznać na pierwszy rzut oka.

Zanim Kmicic popłynął do Panamy nazywał się Skrzetuski

W latach ostatniej wojny pięć polskich statków należących do przedsiębiorstwa: „Polsko-Skandynawskie Towarzystwo Transportowe” otrzymało nazwy z Sienkiewiczowskiej trylogii. W ten sposób dotychczasowe „Robury” z przydaną do nazwy kolejną cyfrą rzymską zamieniły się w „Zagłobę”, „Kmicica”, „Kordeckiego”, „Zbaraż” i „Czesłochów”. Trzy z nich zatopione w latach wojny, dwa pozostałe („Kmicic” i „Kordecki”) przeszły po wojnie pod banderę panamską, zmieniając przy tym swe nazwy.

Warto jeszcze dodać, że z przyczyn podyktowanych koniecznością zachowania tajemnicy wojennej, s/s „Kmicic” został w 1944 roku „przechrzczony” w jednej z informacji prasowych na „Skrzetuski”. I dlatego przez kilka jeszcze lat po wojnie utrzymywał się w kraju mylny pogląd o istnieniu statku noszącego nazwę bohatera „Ogniem i mieczem”.

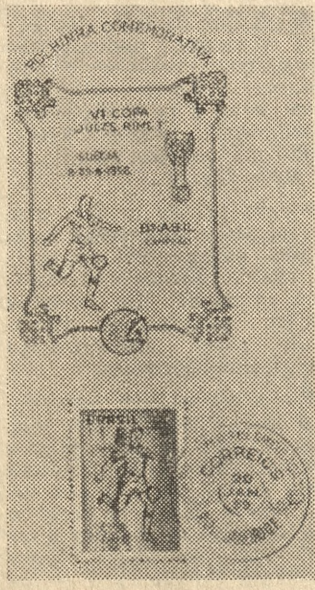
Nazwę „Zagłoba” nosił natomiast przed ponad dwudziestu laty mały statek parowy, eksploatowany najpierw przez Ministerstwo Komunikacji w żegludze rzecznej, a później przez Żeglugę Polską na wodach przybrzeżnych.

(ZAP)



Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej zakończyły się wprawdzie w czerwcu ubiegłego roku, niemniej członkowie mistrzowskiej drużyny na długo jeszcze pozostaną bohaterami narodowymi Brazylii. Nie dziwny się więc zbytnio, że poczta brazylijska wydała specjalny znaczek z okazji zwycięstwa w Sztokholmie. Zeby całą tę historię uświetnić jeszcze bardziej, wydano również pewną ilość specjalnych numerowanych arkuszków pierwszego dnia wydania znaczka, na których stemplowano znaczki okolicznościowym datownikiem.

Mgr L. K.



fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

OKO W OKO

Opracował: A. TREPKA

Relacjonując do tej pory głoszą na zachodzie i w USA sprawę tzw. „latających talerzy”, chcemy również podać kilka relacji o... bezpośrednich kontaktach ludzi z załogami tych tajemniczych statków. Relacje te budzą najwięcej wątpliwości z naukowego punktu widzenia, a zwłaszcza to, że istoty spoza naszej planety wyglądają rzekomo tak samo jak my lub bardzo podobnie...

W zachodnich wydawnictwach książkowych, prasie i radio uderza istna powódź przeróżnych opisów tego rodzaju spotkań — od sielankowych do najbardziej dramatycznych.

Jednym z pierwszych, którzy twierdzili, że nawiązali kontakt bezpośredni z pasażerami latających spodków, był Amerykanin, Truman Betherum, późniejszy autor książki „Aboard a Flying Saucer”, która zyskała mu wielką popularność. Oto jego wywody:

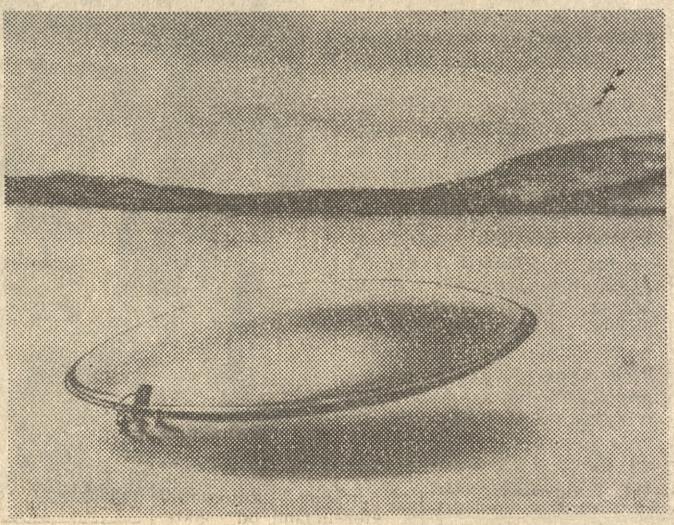
W lipcu 1952 r. byłem zatrudniony w Highway 91 (stan Nevada) około 70 mil od Las Vegas w kierunku Salt Lake City.

Dowiedziałem się, że cała otaczająca nas pustynia była niedgdyś dnem oceanicznym, czego dowodem muszle rozrzucone na jej powierzchni. Wystarałem się raz o pozwolenie pojechania samochodem w tę część pustyni, gdzie mógłbym nazbierać muśli na pamiątkę. Z miejsca pracy wyjecha-

rządzonej jak kombinacja biura z gabinetem.

Oczy omal nie wyskoczyły z głowy: dowódca była oszalała, piękna kobieta! Wykwintnie ubrana, niższa od któregośkolwiek z mężczyzn wchodzących w skład załogi, odznaczała się tym samym typem łańskim: kruczono włosy, cera oliwkowa. Można było oce- nić ją na 42 lata.

Powstała i uśmiechnęła się. Jak- by na rozkaz, towarzyszący mi



Pojazd kosmiczny, który Truman Betherum — według swojej relacji — zwiadał w 1952 roku. Rysunek z jego książki „Aboard a Flying Saucer”.

łem o w pół do czwartej, w godzinę później byłem u celu. Po- stanowiłem się zdrzemnąć, wie- dząc, że promienie słońca przedko mnie obudzą. Spałem może pół godziny, aż usłyszałem jakieś gło- sy. Rozmowa toczyła się cicho w języku, którego nie znałem. Gdy podniosłem głowę, ujrzałem ośmiu mężczyzn niskiego wzrostu, którzy półkolem otoczyli mój wóz. Dzia- liła nas odległość najwyższej dzie- sięciu stóp.

Pomyślałem, że trzeba szybko uciekać. Jeden z nieznajomych przybliżył się i powiedział coś ci- cho. Potrząsnąłem głową na znak, że nie rozumiem. Wówczas cofnął się szybko, a powróciwszy, prze- mówił po angielsku.

Opowiedział mi, że nie mają trudności w posługiwaniu się róż- nymi językami.

Wygląd tych ludzi przypominał mi mieszkańców krajów łańskich. Serce biło mi mocno ze strachu i podniecenia. Zdecydo- wałem się jednak wyjść z wozu i uściśnąć dłonie gości. Dopiero odwróciwszy się do wyjścia zoba- czyłem monstrualny latający spodek w kształcie dyska. Był od- dalony około 75 jardów. Musiał mieć jakieś 300 stóp średnicy i 180 stóp wysokości.

— Czy macie dowódce? — zapy- tałem.

— Oczywiście.

— Czy mógłbym z nim mówić?

— Najpewniejsza rzecz jak wiesz (zwrot gwarowy) — odpowiedział.

Zapytałem wówczas, czy przy- byli z jakiegoś europejskiego kra- ju. Zaprzeczył.

— Z dowódcą możesz pomówić w naszym szkucie — dodał.

Pomyślałem, jak bardzo nazwa nie idzie w parze z imponującym wyglądem pojazdu. Ruszyliśmy ku statkowi, który stał nieruchomo cztery stopy nad ziemią. Miał jedynie stopień i poręcz po prawej stronie wejścia.

Mój towarzysz zwinnie podrzu- cił mnie, potem zwinął nieco swój uścisk, a mimo to trzymał mnie mocno. Zaznaczam, że waży 180 funtów, on zaś był znacznie drobniejszej budowy i co naj- mniej o stopę niższy ode mnie.

Wewnątrz pojazdu schodziliśmy około 50 stóp po pochyłości. Po- tem ten sam przewodnik obrócił mną w lewo i poprzez coś przy- pominające drzwi przepełnił do izby o wymiarach 10x12 stóp, u-

mężczyzna puścił moje ramię i niezwłocznie wyszedł z pokoju. Nie mogłem wykrusić ani słowa. Wtedy ona odezwała się:

— Mówże, przyjacielu! Nie je- steś zaczarowany.

Po półgodzinnej rozmowie stwierdziłem, że to nie są Euro- pejczycy. Nie wymieniła mi wte- dy swego imienia ani nazwy oj- czystej planety, a tylko pozostawi- ła świadomość, że oni podróżują po kosmicznych szlakach oraz są dobrze zorientowani w tym, co się dzieje u nas i na innych plane- tach. Wytworzył się przyjacielski nastrój. Moja rozmówczyni nie wypytwała o nic prócz nazwy okolicy, którą była Murmon Mess (stan Nevada).



Truman Betherum podpisuje swoją książkę.

Później wyprowadziła mnie ze swego pojazdu obiecując, że po- wróci w to samo miejsce.

Wiedziałem ich jeszcze jedna- cie razy. W tym czasie dowiedzia- łem się, że piękna kobieta ma na imię Aura Ranes i pochodzi z planety „Clarion”. Podała, że „Clarion” stanowi jedyną nazwę, pod którą znany jest ich ojczysty glob.

Ostatnie nasze spotkanie wyda- rzyło się 2 listopada 1952 r. Aura przyrzekała mi powrócić w przy- szłym miesiącu. Pozostałem w tej okolicy do następnej wiosny, ale nie przycieli, ani nie dali mi żadnego znaku swego istnie- nia...

CIĄG DALSZY ZA TYDZIEŃ